



# Wigilia internowanych

Franciszek L. Ćwik

Przywzięli nas do byłego carskiego więzienia w Krasnymstawie i – nie wiedzącym skąd ta upiorna podróż – kazano wysiadać z milicyjnych „suk”. Nie rozumieliśmy jeszcze, że peerelowski reżim po raz kolejny postanowił, tym razem rękami generała z moskiewskiego nadania, rozprawić się z Polakami, broniącymi nadziei swojego kraju na niepodległość, z ludźmi Solidarności – związku zawodowego, który chciał doprowadzić do uporządkowania naszej siermiężnej rzeczywistości, i przynajmniej przydania ludzkiej twarzy socjalistycznemu bezsensowi. Beznadziei objawiającej się m.in. kartami na mięso, cukier, benzynę a nawet wódkę; cenzurą co wyznacza kiedy i o czym wolno pisać. Tylko za te polskie marzenia – żeby wszystkim było choćby trochę normalniej, 13 grudnia 1981 r., sowieckim zwyczajem – w nocy, powyciągano z domów i aresztowano bez żadnej decyzji sądu tysiące ludzi, często chorych, pozostawiających samotne żony, zbudzone ze snu, roztrzęsione ze strachu dzieci – widzące milicjantów wytamujących drzwi, zakładających ojcu kajdanki. Temu Tatusiowi, który ostatnimi miesiącami nie miał nawet czasu, by pójść z nimi na spacer, bo bywał na jakichś ważnych dla Polski zebraniach. Ale przecież czasami przynosił im cukierki „na kartki” i obiecywał kupić sanki, i wybrać się na ślizgawkę, kiedy tylko spadnie pierwszy śnieg.

A śnieg spadł właśnie tej grudniowej nocy, ale zamiast wspólnego spaceru na sanki, powieszono go do więzienia, gdzie przywita go szpaler uzbrojonych w hełmy, tarcze i patki zOMO-wców, gotowych do bicia, gdyby tylko zrobił jeden niepoprawny krok.

Wsadzono nas między stare, grube mury, do ciemnych lodowatych cel z kratami w oknach. Była noc, gdzieś koto czwartej nad renem, ale przecież nikt nie mógł zasnąć, nikomu nie chciało się spać, napięcie było wielkie, że początkiem nie odczuwaliśmy nawet tego zimna w nieopalanej celi. Celi dla przestępców, ze śmierdzącym kibelem odgrodzonym tylko dwoma tekturowymi deskami. Po wielogodzinnym transporcie, oczywiście każdy chciał skorzystać z ubikacji, ale w tych upokarzających warunkach, prawie na oczach wszystkich nikt jakoś nie mógł się przemóc. Po pewnym czasie, w końcu i do tego musieliśmy przywyknąć, tak samo jak i do blaszanych misek, trzeszczącego w zębach piaskiem chleba, zup gotowanych z jakiś resztek i zrynek z sierścią, i niedzielnych „mielonych”, w których zmielone było wszystko.

Nie przywykliśmy jednak do niewoli, do więzienia. „Do tego nie da się przywyknąć” – mawiał gołący i strzygący nas obchodny fryzjer – więzień kryminalny, odsiadujący 8 letni wyrok. I miał rację. Problem więzienia nie polega tylko na tym, że jest w nim podłe jedzenie. Chodzi o to, że nie jesteś wolny, że zamykają cię codziennie w małej, przeludnionej celi, że rytm twojego dnia wyznacza zgrzyt klucza, przekręcanego w drzwiach przez strażnika. Twoją jedyną częścią wolności i największą radością jest półgodzinny spacer w ogrodzonym ze wszystkich stron spacerniaku i możliwość zamienienia paru słów, nawet o byle czym, z kimś, kto tak jak ty, robi w tej pilnowanej przez „klawiszy” klatce. Jak ci się uda to zimą możesz sobie jeszcze utoczyć ze śniegu bałwana, którego awansujesz na stopień... generała. Ktoś, kto nie był w więzieniu nie może sobie wyobrazić jaką radością jest możliwość wyjścia z domu i pójścia tam gdzie ma ochotę.

Później zrobiło się niby „lepiej”. Była opalana cela, a czasem i kluski z serem, ale za to zaczęli przyjeżdżać SB-ecy na „Polaków rozmowy”, proponując nam podpisanie tzw. lojalki. Wprawdzie z prawnego punktu widzenia taki „dokument” nie ma żadnej wartości, to jego podpisanie z moralnego punktu widzenia było degradujące, i oto właśnie SB-ekom chodziło, żeby nas za wszelką cenę upodlić. Podpisanie lojalki oznaczało bowiem jakiś rodzaj poddania się i akceptacji gąsienic stanu wojennego, koksowników na rogatkach,



godziny milicyjnej, a przede wszystkim... zabitych w kopalni Wujek, aresztowania zamojskich rolników, których w nocy wywieziono w las pod Tomaszowem Lubelskim i kazano iść do domów, jednocześnie wydając zOMO komendę: „załaduj broń”.

Później znowu było gorzej. Jeszcze bardziej starano się nas zeszmacić, proponując... współpracę z nimi, z SB. Już nie tylko zaprzecić się tego wszystkiego, co się robiło, w co się wierzy, ale jeszcze zdradzić i uczestniczyć w tym całym draństwie zorganizowanym pod kierunkiem „generała” w ciemnych okularach.

Nie sadzę, by ktoś z naszych coś takiego podpisał, chociaż obiecywano natychmiastowe zwolnienie i „dobrą przyszłość”. Nasz los zależał wówczas całkowicie od widzimisie SB-ków, tak że uważaliśmy, iż pod względem psychicznym jest nam znacznie trudniej od więźniów kryminalnych, bo oni mieli wyroki i wiedzieli przynajmniej kiedy wyjdą. My nie znaleźliśmy naszej przyszłości i na tym właśnie SB-ecy starali się wygrywać i wykorzystywać każdą okazję, by nas zmusić do ustępstw, do zdrady. A było wśród nas wielu, którym w tym czasie urodziły się dzieci czy zmarli rodzice, chorowały żony. Było ciężko, bardzo ciężko, ale wtedy na pomoc przychodziła nam... modlitwa.

Prawdziwe jest polskie przysłowie, że „jak trwoga to do Boga”. Nie sadzę, by miało ono negatywny wydźwięk, bo w końcu, do kogo można się zwrócić, z kim porozmawiać, kiedy nie zna się swojego jutra, kiedy mogą cię w każdej chwili wyciągnąć z celi i skatować, chociażby tylko dla własnej dziwnej satysfakcji. Tak przecież naprawdę bywało. Dlatego modliliśmy się więcej niż zazwyczaj, zwłaszcza na różańcach zrobionych z chleba.

Czekaliśmy na Wigilię, która jest dla nas, Polaków, chyba najbardziej świątecznym, wypełnionym głęboką tajemnicą, jedynym swego rodzaju dniem w roku. Niektórzy twierdzili, że nas wypuszczą, bo „jak można trzymać niewinnych ludzi?”. Było inaczej, ale też pięknie, chociaż po ludzku rzecz biorąc strasznie. Wypędzono nas z cel. Okazało się, że służba więzienna i SB obawiali się tego świętego dnia. Bali się, że możemy psychicznie nie wytrzymać i że może dojść do jakichś rozruchów. Dlatego przewencyjnie starano się nas zastraszyć. Wypędzono z cel. Strażnicy, jakby świątecznie, wyposażeni w hełmy i patki, dokonywali rewizji w celach, wyracając wszystko do góry nogami. Potem poddano nas jeszcze rewizji osobistej i przeniesiono do innych cel.

Wigilia, dzień oczekiwań na Coś, co zmieni oblicze tego świata, był dla nas też dniem modlitwy i marzeń o zmianie naszej ziemi, mimo przestuchań, rewizji, poniżeń i niepewności jutra. Było nas w „nowej” celi dziesięciu. Dziesięciu z kilku tysięcy internowanych, którzy z dala od rodzin, rodzinnej wieczery spędzą ten jedyny



## Souvenirs de Noël

*Madame Halina est originaire de Lwów où elle a passé son enfance et son adolescence. Après les expulsions, elle a habité en Pologne. Elle réside maintenant en France.*

*Pouvez-vous nous dire quelques mots sur Lwów ?*  
Lwów est une ville comme Rome, construite sur sept collines, où l'on monte les rues ou on les descend. C'est la seule ville polonaise décorée de la Croix d'Or de l'Ordre Virtuti Militari, décernée par le maréchal de Pologne Józef Piłsudski, en présence du maréchal de France Ferdinand Foch. Au Trocadéro, il y a une statue du maréchal Foch sur laquelle il est écrit qu'il est maréchal de France, de Grande-Bretagne et de Pologne. Lwów est la seule ville au monde à posséder trois cathédrales, une pour chaque religion – catholique romaine, gréco-catholique et arménienne. Le pape Pie XI a envoyé à Lwów une bénédiction spéciale et a remercié les habitants pour ces trois cathédrales. À Lwów, il y avait trente-trois églises sans compter les chapelles des monastères et des couvents. À toutes les messes, elles étaient toujours pleines de fidèles.

*Comment commençaient les fêtes de Noël ?*

Avant Noël, pendant les quatre semaines de l'Avent, on célébrait dans chaque église les Rorate, des messes à six heures du matin. Il faisait encore très sombre. C'était une vision très particulière, avec des silhouettes humaines sombres qui marchaient en tenant à la main des lanternes allumées, de toutes les tailles. La nuit du 5 au 6 décembre, c'est la nuit de la Saint-Nicolas, une fête toujours attendue par les enfants qui, la main sous l'oreiller, espéraient un cadeau de saint Nicolas. Les confiseries que l'on recevait étaient gardées sans être mangées jusqu'à la décoration du sapin.

*Justement, comment était ce sapin ?*

Le sapin était une tradition. Dans chaque église, dans les écoles, dans chaque classe, dans les maisons, devant l'hôtel de ville, sur les places, dans les hôpitaux, partout pendant tout le mois de décembre, on décorait des sapins qui montaient du sol au plafond. Dans les écoles, pendant les cours de travaux manuels, on confectionnait de belles décorations pour le sapin. On en faisait aussi le soir à la maison avec des amis, la famille, des camarades. Il faut

rappeler qu'à l'époque on ne produisait pas encore de boules artificielles. Au sommet du sapin, on plaçait une belle et grande tête d'ange, tout en couleurs, avec des ailes près du visage. Et du sommet jusqu'en bas, en passant par les grandes branches, on le couvrait d'une guirlande de papier colorée, faite à la main. Sur le sapin, on accrochait des petits pains d'épices, des petits chocolats, des bonbons et des petits jouets, enveloppés dans des papiers de toutes les couleurs, que nous avaient apportés saint Nicolas. Et sur les petits bougeoirs, on mettait des bougies colorées. Il n'y avait pas encore de guirlandes électriques. On allumait les bougies avant le dîner du réveillon et on ne défaisait le sapin que le premier février.

*Comment considérez-vous les fêtes de Noël ?*

Ma famille était très croyante. Je considère ces fêtes avec une très grande et très profonde vénération, avec le plus grand respect. C'est comme cela que j'ai élevé mon fils. Je lui ai raconté tout cela, car il est le petit-fils d'enfants de Lwów. L'année dernière, j'ai passé Noël près de sa tombe – celle de mon fils unique. Cette année j'irai encore sur sa tombe si Dieu me prête vie jusque-là.

*Comment se passaient les fêtes de Noël ?*

Les fêtes commençaient avec le réveillon. C'est une fête de famille particulièrement joyeuse. La table était recouverte d'une belle nappe blanche sous laquelle on mettait du foin. À Lwów, il fallait aller au marché un mois avant pour en acheter à un agriculteur. Il y avait toujours une assiette de plus pour un étranger ou une personne morte dans l'année. Bien sûr, il y avait l'opłatek sur une assiette blanche. Dans une atmosphère affectueuse, la famille rassemblée se partageait cet opłatek, les enfants embrassaient les mains des parents et des personnes âgées, et ensuite on se mettait à table. Le dîner se composait de douze plats maigres. Chez nous, il y avait du poisson en gelée, de la carpe panée à la chapelure, des feuilles de chou farcies au riz et aux cèpes, des raviolis à la choucroute et également aux



cèpes, des raviolis fourrés de marmelades, de la kutia au miel. J'adorais la kutia et je m'en gardais toujours dans des petits pots pour en manger le lendemain. Après le dîner, on chantait des kolędy. J'en connais tellement que vous ne pourriez pas toutes les noter en une demi-journée ! *Wśród nocnej ciszy* (Dans le silence de la nuit), *Lulajże Jezuniu* (Dors mon Petit Jésus), *Bóg się rodzi* (Dieu est né). Celle que j'aimais le plus quand j'étais petite, c'était *Pójdźmy wszyscy do stajenki* (Allons tous à l'étable). Plus tard, quand j'étais plus grande, j'adorais ce chant de Noël autrichien *Douce Nuit, Sainte Nuit*.

*Alliez-vous aussi à la messe ?*

À minuit, nous partions pour l'église à travers les rues gelées par la glace. Dans les églises éclairées solennellement par toutes les lumières, le prêtre en s'approchant de l'autel chantait *Wśród nocnej ciszy*, et ce chant se répandait au loin à travers les rues. Ensuite, nous rentrions à la maison. Bien entendu, notre grand-mère, à l'âge de 90 ans, marchait avec nous sur la chaussée glissante. Pardonnez-moi, j'ai la voix qui tremble et les larmes me montent aux yeux. Il m'est difficile d'en parler, car l'émotion qui m'envahit est trop forte. Tout cela, c'était avant 1939. Lorsque les Soviétiques sont entrés, ils ont fermé toutes les églises. Une seule est restée ouverte, à Łyczaków, l'église Saint-Antoine (photo.). Après les fêtes, les kolędnicy allaient de maison en maison. C'était des groupes d'étudiants de l'École polytechnique ou de l'université. Ils allaient chez les uns et chez les autres avec de grandes crèches roulantes et chantaient des kolędy. Les gens leur donnaient des petits cadeaux. Ils allaient aussi dans les hôpitaux. □

*Propos recueillis par Teresa Zienkiewicz*

wieczór razem, możliwie najlepiej jak można, mimo murów carskiego więzienia, krat, strażników za drzwiami i ustawionym od niedawna na nowym miejscu blaszanym talerzom.

Wrzucono do cel po gałązce jedliny, kilka konserw rybnych i dano opłatek. Pomyślałem wówczas, że może ci ludzie, którzy nas pilnują nie są do końca tak nieludczy jak starają się tego stwarzać pozory. Są chyba tak samo, jak my, chociaż w inny sposób, ofiarami tego system, na czele którego stoi „generał” Jaruzelski, ubierający się w szaty Wallenroda.

Nagle ktoś, po cichu, zaczął nucić „Bóg się rodzi” i cała nasza cela rozbrzmiała tą kolędą, radością – mimo wszystko, i nadzieją. Później „Dzisiaj w Betlejem”, pieśń na lepsze jutro, na lepszą Polskę – bez więźni

i oprawców spod znaku sierpa i młota, bez Jaruzelskiego. Wielu miało tży w oczach. Żaden z nas nie wyobrażał sobie przecież, że kiedykolwiek przyjdzie mu spędzać Wigilię i Boże Narodzenie w swoim kraju za kratami więzienia, z dala od najbliższych. Każdy wiedział też na dodatek, że w ten święty wieczór, gdzieś daleko, zebrana jest przy stole jego Rodzina, i że ta Wigilia również dla nich jest inna niż wszystkie dotychczasowe. Ale nikt się nie załamywał, bo gdzieś – podświadomie chyba – czuliśmy przecież, że mamy rację i że nasza sprawa zwycięży. I tak się stało, może również dzięki tej więziennej Wigilii i kolędom, które wówczas śpiewaliśmy pełni nadziei. □

*Franciszek L. Ćwik*